OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ

GAZETKA MIKI

ROK I. NR 2
DNIA 24 GRUDNIA 1938

TYGODNIK

CENA 40 GROSZY



NIESIE MIKI UPOMINKI DLA CAŁEJ RODZINKI

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

PĘDZIWIATR

Na skrzydłach wiatru



Staszek leciał i śmiał się do siebie samego, do wichru, do chmur. Rękami trzymał się poprzeczki z całych sił i nie czuł ani trochę zmęczenia czy bólu. Jakieś wsie, rzeki, dwory, kościoły, fabryki przesuwały się, śmigały pod nogami, coraz prędzej i prędzej. Ledwo mógł odróżnić jedno od drugiego. Ludzie, kopiący w polu ziemniaki, zadzierali głowy do góry, patrząc na mały latawiec, który gnał z wichrem i z chmurami.

Oto już most żelazny na Dunajcu i... Tarnów! Chyba Tarnów! Nie może być nic innego! Był tam Staszek z ciotką raz jeden i dlatego poznał bez trudu. Tak, tak! Cała masa domów, ogrodów, kościołów, a ten z ostrą wieżą to katedra... Tam znowuż wielka bania bóżnicy... Trwało to jednak niespełna sekundę i Tarnów przepadł w jesiennej mgle, a Staszek był już nad kominami Mościc. Dym, kłęby gęste żółtego dymu unosiły się tak wysoko, że Staszek kichnął, roześmiał się i samemu sobie odpowiedział »Na zdrowie!« Latawiec skręcił na południe i tylko



mignęły ruiny zamku w Czchowie, potem rożnowska zapora na Dunajcu, potem znowuż wicher zachodni cisnął ich w bok i Staszek ujrzał szyby naftowe Gorlic, Jasła, o których niedawno uczył się w szkole.

Minęło to wszystko. Latawiec podniósł się nagle wyżej i rwał takim pędem, że Staszkowi zatkało dech w piersiach. Kurczowo zaciskał tylko palce dookoła drążka i myślał o tym, żeby nie spaść. Kichnął raz drugi, czyli ciotka miała znowu rację: dostał kataru. Chciał wytrzeć nos chusteczką, ale zaniechał tego, bojąc się zlecieć. Gdy tak pędził wśród coraz gęstszych chmur, nie żal mu było niczego. Chyba tylko Zosi. Czy ona tam czeka jeszcze na Górze Zamkowej? I czy ciocia da jej zaraz śniadanie? Zosi i Azorowi, który został w domu? Hm, ciocia lubi czasem zapomnieć o Azorze, ale Staszek, gdy tylko wróci...

Był jeszcze pewien, że wróci. Dopiero, gdy ujrzał się nad poszarpanym grzbietem wielkich gór, zrozumiał, że jest strasznie daleko od domu i że wróci nieprędko. Może nawet nigdy? Przecież to z pewnością są Karpaty. Albo Tatry? Tyle śniegu widać na górach, że to już chyba Tatry, nie co innego.

Tymczasem wiatr zmienił się w burzę. Chmury były czarne jak tablica szkolna, jak atrament. Kotłowało się w nich, pieniło. Latawiec przechylał się z boku na bok i tańczył w chmurach. Płócienne jego skrzydła zaczęły trzeszczeć, wyginając się pod uderzeniami wichru. Ręce przemarzły dawno Staszkowi na kość i utracił w nich czucie. Choćby nawet chciał wytrzeć nos, jużby nie mógł odjąć dłoni od drążka. Trzymał się jeszcze, ale wiedział, że to nie może długo trwać. Jeszcze pięć minut, kwadrans najwyżej, potem jednak siły go opuszczą i spadnie w dół. Zresztą, choćby sam utrzymał się, to latawiec nie zniesie tego naporu szalonej burzy, która wzmaga się z sekundy na sekundę. Ciotka mówiła wprawdzie, że to jest bardzo mocne płótno, w najlepszym gatunku, ale choćby z żelaza było nie z lnu, taki wicher podrze je na strzępy.

Staszek był w tej chwili o setki, setki mil od domu. Nie wiedział nawet, która to może być godzina i jak długo już leci. Nie miał pojęcia, gdzie jest i dokąd go unosi straszliwa burza. I był głodny. O bardzo głodny! Bez śniadania! Choćby chciał, nie mógłby przecież powstrzymać teraz lotu. Zaczął więc modlić się do Pana Boga w tej wichurze, która razem z gradem świszczała mu w uszach. Chmury przewalały się z hukiem dookoła, Staszek zaś modlił się coraz goręcej:

— Panie Boże, daruj mi to prześcieradło! Gdyby policjant chciał zabrać tego kominiarza, jabym się zaraz przyznał! Naprawdę! Słowo honoru! Choćbym nawet miał dostać w skórę od cioci! To było pierwszy raz w życiu! Pierwszy i ostatni! Już nigdy, nigdy! Przyrzekam!

Nie usłyszawszy odpowiedzi, Staszek modlił się dalej, głównie zanosząc prośbę w sprawie Zosi, która została zapewne tam, na Górze Zamkowej...

— Panie Boże, zrób koniecznie tak, żeby ciocia nie gniewała się na Zosię! Zosia jest całkiem niewinna! Tak bardzo proszę! Tylko ja jeden ponoszę winę, nikt inny! Niech ciocia da Zosi zaraz gorącej herbaty, bo Zosia na pewno zmarzła tam, czekając aż ja wrócę. Proszę powiedzieć cioci stanowczo, żeby była dla niej dobra! Przecież Zosia jest malutka i nie ma od dawna ani ojca ani mamy, tylko ma mnie jednego, ja zaś nie wiem, kiedy wrócę... I tam jeszcze został Azor, o którym ciocia zawsze zapomina! To bardzo dobry pies, trzeba mu więc dać śniadanie a wieczór koniecznie spuścić z łańcucha... Zresztą ja go spuszczałem i w ciągu dnia, jak nie widziała ciocia... Jeśli zaś idzie o mnie samego, to ręce mnie okropnie bolą i pewnie długo nie wytrzymam...

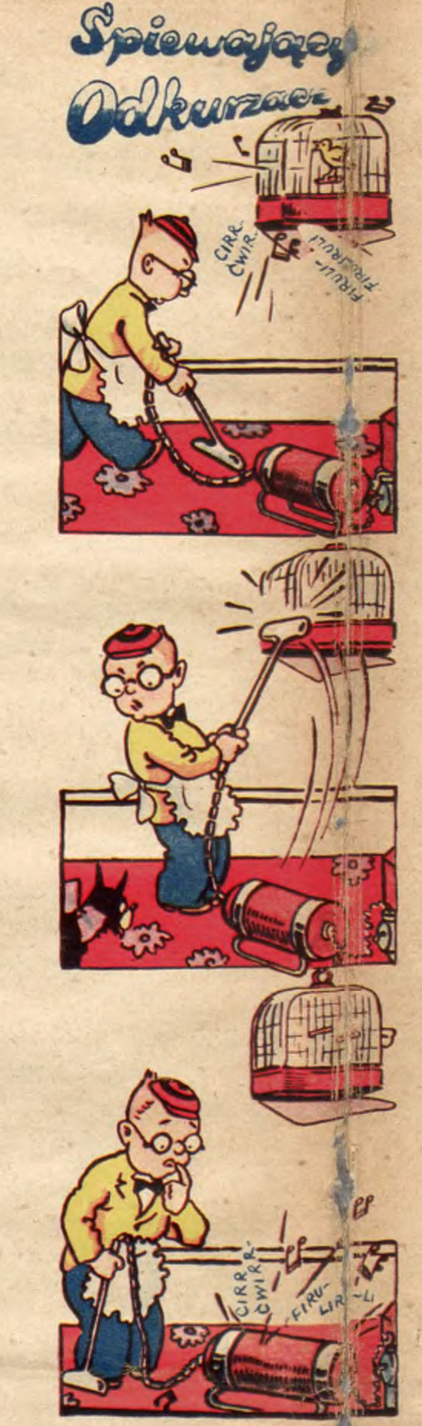
Nowy zryw wiatru zatkał Staszkowi usta i wepchał słowa z powrotem do gardła, chłopiec więc modlił się już tylko po cichu, coraz ciszej i ciszej...

(d. c. n.)









Śpiewający odkurzacz

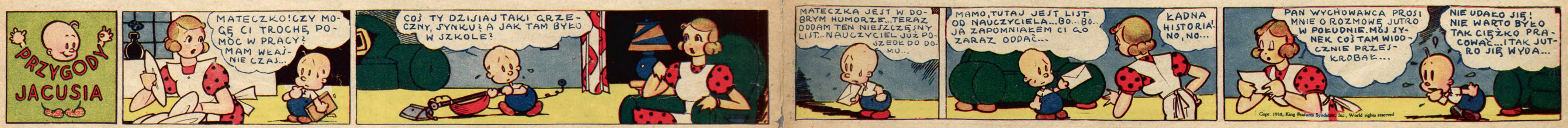
A nasz Marek wciąż się krząta,
bardzo pilnie pokój sprząta,
elektrycznym odkurzaczem
zbiera kurz z każdego kąta.

Ale nagle, niespodzianie
dzwonek głośno warknął w sieni
i nasz Marek przerwał pracę,
myśląc długo: Kto to dzwoni?

W zagapionej Marka ręce
szedł odkurzacz wyżej, niżej,
aż się wreszcie jego paszcza
do kanarka klatki zbliża.

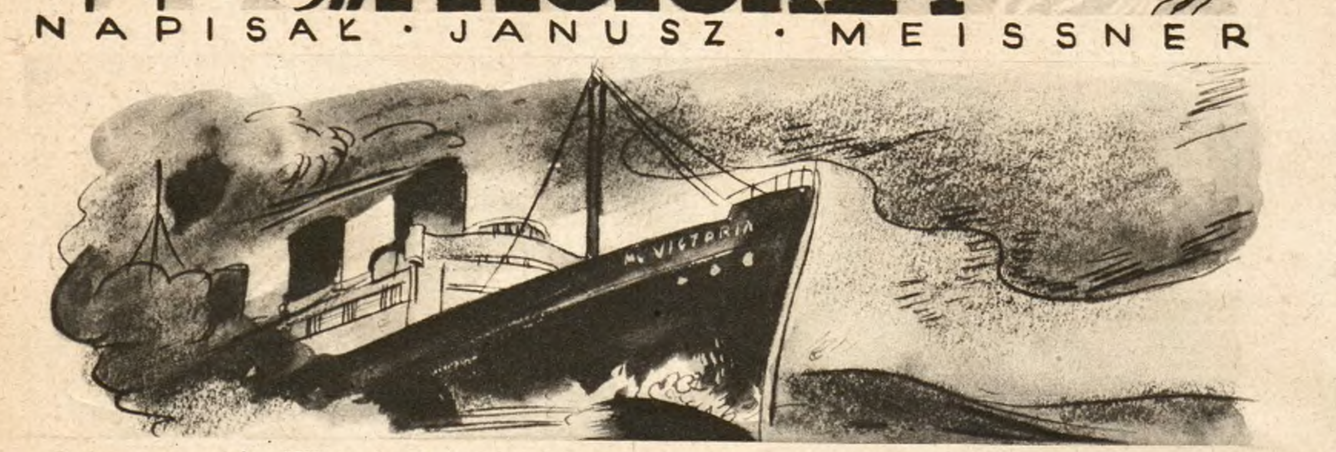
Ocknął się z zadumy Marek;
Gdzież to podział się kanarek?
A kanarek śpiewać zaczął
w elektrycznym odkurzaczu!





M/S „WICTORIA”

NAPISAŁ · JANUSZ · MEISSNER



Pożar na m/s[1] »Wictoria« wybuchł nagle w samo południe i rozszerzał się z przerażającą szybkością. Gdy się to zaczęło, »Wictoria«, licząca 48.000 ton pojemności znajdowała się jeszcze o 500 mil morskich[2] od San Francisco w podróży powrotnej z wycieczki dokoła świata.

Spośród tysiąca dwustu pasażerów większość z powodu niepogody znajdowała się w kajutach. Ponad sto pięćdziesiąt osób przebywało w wielkim salonie dancing-baru pierwszej klasy. Koło dwustu rozproszyło się po czytelniach, kawiarniach i pokładach olbrzymiego statku, który pełną szybkością płynął na wschód po pustych, mało uczęszczanych na tym szlaku wodach Pacyfiku.

O godzinie dwunastej minut pięć trzeci mechanik Weber, schodząc do maszyn po błyszczących gretingach[3], zatrzymał się na górnej platformie, poczuwszy nagły zawrót głowy.

— Co to jest? — pomyślał. — Co za okropne powietrze...

Naczelny inżynier Lehnert wołał do niego z dołu:

— Panie Weber! Schodź pan prędzej. Mamy defekt.

— Co się stało? — zapytał trzeci mechanik dusząc się. — Co to za dym? Ropa...

— Właśnie: ropa! — odkrzyknął Lehnert. — Złaź pan, bo...

Nie skończył. Weber pośliznął się i runął głową na dół na następną platformę.

[1] m/s — skrót motor-ship — statek motorowy.
[2] Około 900 kilometrów.
[3] Gretingi — stopnie lub szczeble żelazne.

Zniesiono go na dół i wezwano lekarza. Tymczasem Lehnert telefonował do kapitana Smitha, a drugi mechanik wraz z brygadą monterów starał się jak najszybciej uszczelnić przewody.

Ropa ciekła z rur na rozgrzane cylindry i ulatniała się natychmiast, tworząc pod sklepieniem gęstą chmurę gazów. Ludzie mdleli od tych wyziewów. Raz po raz kogoś odciągano na bok i cucono wodą. Wentylatory warczały jak brytany, ale ich praca nie wystarczała w tych warunkach i coraz więcej gazów gromadziło się w maszynowni.

— Dopóki nie uszczelnimy przewodów, będzie coraz gorzej — powiedział inżynier Lehnert w tubę telefonu.

To były ostatnie słowa, które wyszły z hali maszyn. Bezpośrednio po nich nastąpił wybuch.

Z okien salonu dancingowego można było widzieć, jak najpierw skoczyły w górę szklane daszki skylightów[1] na dolnym pokładzie, za nimi zaś strzelił potężny słup ognia. Pokład uniósł się, tworząc przy lewej burcie na środku statku wielki garb, który w następnym ułamku sekundy pękł z hukiem i rozwarł się w ognistą czeluść. Trzypiętrowe nadbudówki, mieszczące składy bagażu I i II klasy, szarpnięte potworną siłą, wyleciały w powietrze. Ściany korytarzy, jakieś schody i windy stanęły w ogniu.

Ropa lunęła strumieniami z rozwalonych przewodów. Płomień zawył, wyciągnął się aż pod szare niebo i zaróżowił ciężkie chmury pędzone porywistym wiatrem od wschodu.

Wśród pasażerów powstała panika. Rzucono

[1] Czytaj: skajlajtów (poziome okno w pokładzie).

się do szalup, tratowano się w popłochu, spychano się ze schodni i z pokładów.

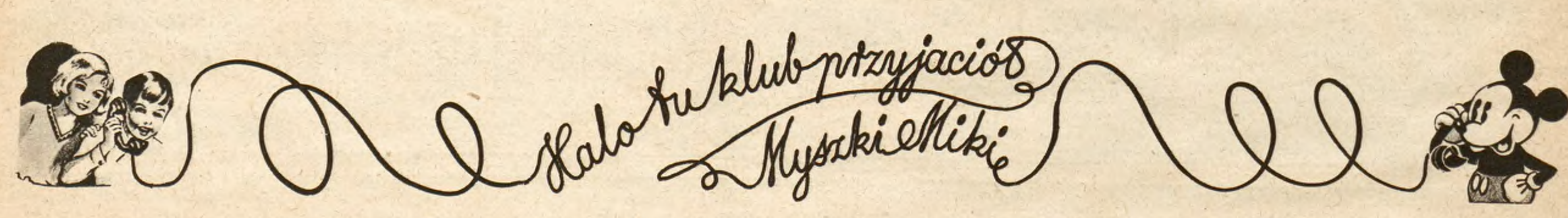
Gdy w kilkadziesiąt sekund po wybuchu stanęły maszyny i »Wictoria« zaczęła tracić pęd, sytuacja stała się jeszcze groźniejsza: półsztormowy wiatr chwycił za grzywę płomień i przygiął go do pokładu. Długi jęzor ognia wśród kłębów czarnego dymu objął rufę i zatańczył wzdłuż burty. Nadbudówki zdawały się unosić w powietrzu nad szalejącym skłębionym czerwono-czarnym strumieniem, który walił pod nimi, targany, smagany i popędzany przez nadchodzącą burzę.

Kapitan Smith nie stracił ani zimnej krwi, ani drogiego czasu. Przede wszystkim wyzyskując resztę szybkości skierował statek o tyle skośnie do fali, aby wicher zniósł płomienie za burtę. Zaraz potem kazał z dzioba i z rufy rzucić kotwice pływające, które miały utrzymać »Wictorię« stale w tym samym położeniu. Dopiero później pomyślał o gaszeniu ognia i uspokojeniu szalejących pasażerów.

To ostatnie było bodaj najtrudniejsze. Kobiety dostawały spazmów; mężczyźni w obłędzie strachu walczyli pięściami i zębami o miejsca w szalupach, biegali po pokładach, tłoczyli się w korytarzach, dusili się w przejściach. Trzeba było użyć połowy załogi do przywrócenia wśród nich jakiego takiego porządku.

Łatwiej poszło z ugaszeniem pożaru na pierwszym i drugim piętrze, gdzie paliły się drewniane przepierzenia, framugi i boazerie kajut oddziałów A i C drugiej klasy, oraz dwa salony i restauracja. Pompy zasilane ze specjalnych motorów i z akumulatorów elektrycznych działały bez zarzutu i na tym odcinku walka z ogniem nie trwała długo. Nie można było tylko ugasić ognia w samym źródle pożaru: dwutlenek węgla, pędzony z trzech bateryj butli na najwyższym pokładzie, nie dochodził do hali maszyn. Widocznie wentylatory zostały zniszczone wybuchem i nie doprowadzały go w głąb ognistego krateru. O wpół do pierwszej starszy oficer zameldował kapitanowi, że radiostacja »Wictorii« w odpowiedzi na sygnały SOS nieustannie wysyłane od dwudziestu pięciu minut, otrzymała depesze z San Francisco i Los Angeles oraz od kilku statków i okrętów na Pacyfiku. Cztery holowniki, jeden kontrtorpedowiec i dwa statki handlowe z różnych stron podążały jej na pomoc. Najbliższe z nich były holowniki z San Francisco, lecz i te mogły znaleźć się na miejscu dramatu najwcześniej za dwadzieścia godzin...

(d. c. n.)



WARSZAWA POD ŚNIEGIEM

— Śnieg prószy! Bielutki śnieg! — wołają dzieci i rozpłaszczają noski o szyby okien.

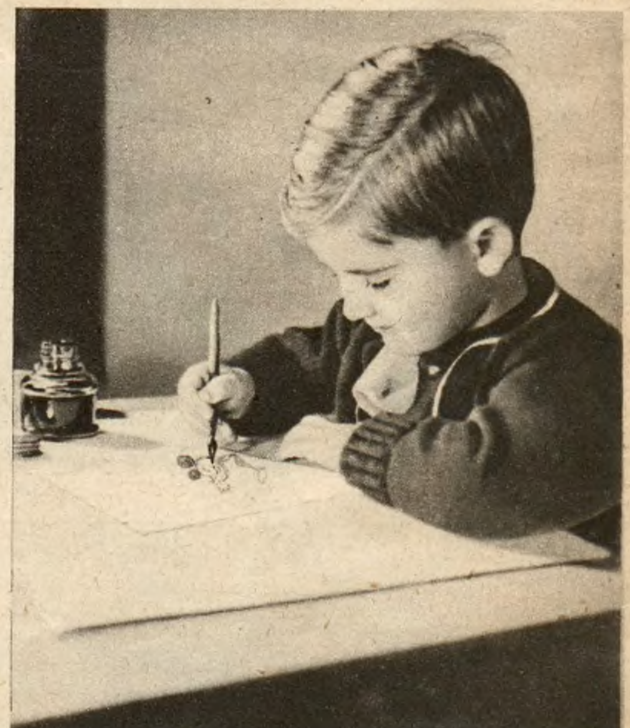
Jakże zmieniło się miasto. Szare domy poweselały nagle. Na wystających gzymsach, na rzeźbach, na balustradach i płotach siedzą białe czapy. Nagie, smutne drzewa postroiły się w białe kożuszki. Czas pomyśleć o sankach, łyżwach



i nartach. Zaczął się zimowy sezon zabaw na mroźnym, świeżym powietrzu! Piękna jest zima w szarym, kamiennym mieście!

Halo! Bardzo dziękuję Zosi Mikulance z Warszawy za tak śliczne portrety naszych przyjaciół. Jasiowi Kowalskiemu z Łodzi szczególnie się udała krówka Ryczułko, a Basia i Stefcio Zawadzcy z Krakowa przysłali nam aż 20 rysunków. Jeden ładniejszy od drugiego. Aż wybrać trudno. Za miłe kartki i liściki dziękuję również Kazi, Rysiowi, Michasiowi i Anielce z Lublina. Władkowi i Hance z Piotrkowa najbardziej się podobał dzielny Krawczyk. W Poznaniu ma podobno powstać klub przyjaciół Kaczorka-Zadziorka. Niedługo już zobaczycie Waszego ulubieńca w oddzielnej historyjce. Tereska z Pińska zapytuje, czy prenumerata miesięczna wynosi taniej niż cena poszczególnego numeru. Tak, miesięcznie płaci się tylko 1 zł 50 gr wraz z przesyłką. Dobre rozwiązania zagadek nadesłali: Czesio, Staś i Wacek Pietrzakowie z Katowic, Zdziś i Anka Kozłowscy z Bydgoszczy. Nie wszystkie ryby zdołali wyłowić z rybackiej łamigłówki: Stachna i Jędruś z Tarnopola, Aldonka i Krzyś Piaseccy z Wilna. Ale co tam! I tak połów był obfity! A jak się Wam podoba dzisiejszy rysunek w Waszym kąciku? Dalsze będziemy zamieszczali co tydzień. Tylko się nie obrażajcie, jeśli przyjdzie Wam troszeczkę zaczekać na swoją kolejkę, ale muszę być przecie sprawiedliwy. Chociaż jestem tylko myszką, lubię porządek. Wasze miłe dowody pamięci przechowuję w specjalnych teczkach. Ostrzegłem już moje mysie dziatki, żeby nie śmiały ich oglądać ząbkami. A teraz czekam na dalsze wiadomości. Tym dzieciom, którym nie odpowiedziałem dzisiaj z braku miejsca w druku — wysyłam listy do domu.

NASZ WSPÓŁPRACOWNIK



Jak widzicie Jaś rysuje coś bardzo ładnego do naszego kącika czytelników. Pewnie weźmiecie z niego przykład. Czekamy!

To samo dzisiaj. Długo nimi wywijał, biegał wielkimi krokami między ławami, dowodził zapamiętale, że Ślązacy są Czechami, aż w końcu cisnął nimi na umywalkę. Okulary ześliznęły się do miednicy i utonęły w brudnej wodzie.

Ulga wstąpiła w złośliwe serca chłopców.

— Gdzie są moje okulary? — zapytał po chwili, gdy odsapnął zmęczony. Rozglądał się, przymrużał znowu oczy i macał dłonią po stole.

— Nie wiemy! — wołali chłopcy.

— Wiecie! Gdzie są? — nalegał wpatrując się mętnymi oczami w przestrzeń.

— Ja wiem, gdzie są! — zawołał Karel Bohač, pobiegł do umywalki i wydobył je z miednicy. — Oto, proszę! — i podał je zdumionemu nauczycielowi.

— O, jakiś ty dzielny czeski chłopak! — wzruszył się pan nauczyciel Švestka i odtąd już polubił niesfornego Karela Bohača. Karel Bohač zaś nauczył się nazajutrz piosenki o prezydencie Masaryku.

Potem pan nauczyciel Švestka zachorował i wyjechał gdzieś do sanatorium. Tak mówił stróż szkolny, pan Jeřabek. Przyszedł do klasy po dzwonku, stanął nasrożony w drzwiach i huknął po czesku:

— Cicho chłopcy!... Nie wrzeszczeć!

— A gdzie jest pan nauczyciel Švestka? — posypały się pytania.

— Pojechał do sanatorium. On ma gruźlicę! Już nie wróci!

— Czemu nie wróci?

— Bo tam umrze. Kto ma gruźlicę, ten musi umrzeć! Gdy ja byłem w Legii syberyjskiej, to mój kapitan także umarł na gruźlicę!... Oto ten zegarek mi podarował na pamiątkę!... A to było tak... — i jął opowiadać przedziwne historie o przygodach czeskiej Legii syberyjskiej. Tak długo, aż do klasy przyszedł pan nauczyciel Parma, co dotychczas uczył klasę pierwszą. Wtedy Jerabek ukłonił mu się po wojskowemu i wyszedł.

Odtąd pan nauczyciel Parma z Pardubic zastępował swego kolegę Švestkę. Chłopcy nie mogli się przyzwyczaić do jego sposobu uczenia i wychowywania. Pan nauczyciel Parma nie krzyczał, nie wymyślał nikomu, tylko dziwnie się uśmiechał. Uśmiech ten drażnił chłopców, niepokoił i jakimś nieokreślonym lękiem napełniał. Poza tym nie wygłaszał nigdy w klasie narodowych kazań — jak to określali chłopcy, nie przekonywał nikogo, że nie jest Polakiem, lecz Czechem, jak to stale robił pan nauczyciel Švestka. Co więcej — uśmiechał się nawet wtedy pobłażliwie i tajemniczo, gdy któryś z chłopców zapomniał się i odpowiedział na jego pytanie po polsku.

GUSTAW MORCINEK: ZA OLZĄ

Wszyscy podejrzewali, że kryje się tu jakiś podstęp. Nie mogli zrozumieć, dlaczego się tak dziwnie uśmiecha. Tu coś nie jest w porządku. Trzeba się mieć na baczności przed nim.

Niepokój nie opuszczał chłopców aż do końca roku szkolnego.

Wzmógł się do ostatnich granic, gdy pan nauczyciel Parma zaczął pisać w klasie świadectwa. Chłopcy mozolili się jeszcze nad zadaniem rachunkowym, a pan nauczyciel wypełniał rubryki w świadectwach i znowu się uśmiechał. W pewnej chwili odłożył pióro i podniósł głowę.

— Karel Bohač! Jest?...

— Jest!

— Jak się nazywa twój ojciec?

— Jan Bogacz, lecz już wysłał podanie do starostwa...

— Jakie podanie?

— ...żeby się nazywać Bohač.

— Aha! — mruknął.

— A tyś Polak czy Czech? — zapytał znienacka.

Karel Bohač zawahał się przez drobną chwilę. Potem burknął:

— Czech!

Pan nauczyciel wstał, podszedł do chłopca, ujął go lekko pod brodę i popatrzył w jego oczy. A potem uśmiechając się powiedział:

— O, ty głupiś, ale głupiś!... i wrócił do katedry.

Wszyscy chłopcy osłupieli ze zdumienia. Najbardziej zaś zdumiał się Karel Bohač. Nic nie mógł zrozumieć. To pan nauczyciel mówi, że jest głupi, iż się uważa za Czecha. Nie, świat się kończy!... A przecież pan nauczyciel Švestka inaczej twierdził!... Nie, tego nie można pojąć!

— No, piszcie, piszcie! — upomniał wszystkich pan nauczyciel, patrząc na nich z tajemniczym uśmiechem. Karel Bohač dostrzegł w nim jakiś niemiły grymas. Jakby szyderstwo czy politowanie, czy coś podobnego.



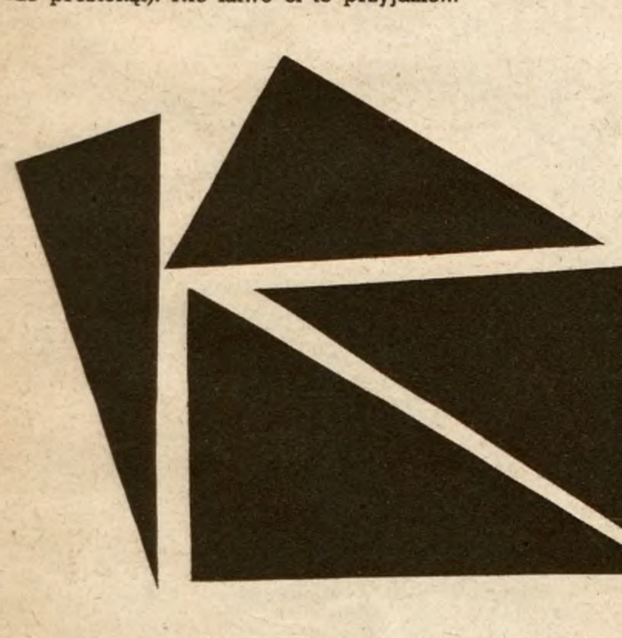
Nazajutrz opuścił szkołę na zawsze. Wyniósł z niej niepokój serca i wspomnienie zagadkowego uśmiechu pana nauczyciela.

(d. c. n.)

ZAGADKI · FIGLIKI · WYMYŚLIŁ · SAM · MIKI

ŁAMIGŁÓWKA

Wytnij sobie z kartonu (przekalkuj) takie same cztery trójkąty, a potem spróbuj ułożyć z nich kwadrat (kwadrat, nie prostokąt). Nie łatwo ci to przyjdzie...



ZAGADKA 1

Przez »k« — ptak czarnopióry,
przez »b« — kamienie w mieście,
przez »m« — człowiek ponury,
przez »d« — mały, czy duży
w książce się mieści
i do czytania służy.

ZAGADKA 2

Przyszły do sklepu trzy matki, cztery córki, dwie wnuczki. Każda chciała kupić bochenek chleba. A choć w sklepie była tylko reszta zapasów i pięć bochenków, podzielono je między kupujące tak, że każda otrzymała cały bochenek. Jak się to stało?

SZARADA 1

Pierwsza — trzy litery słowa
»piorun« albo »piołun«.
Taka łatwa! Już gotowa!
Nie ma z nią mozołu.
Drugą także łatwo znajdziesz:
zawsze cię otoczy,
gdy znużony spać się kładziesz
i zamykasz oczy.
Trzecią damy ci gotową:
»ka« — i **całość** dobierz.
A gdy masz już całe słowo,
to zaśpiewaj sobie.

SZARADA 2

Pierwszą rzeka niesie w zimie
jako mrozów skutki.
Trzecia znowu — to zaimek
wskazujący (krótki).
Druga — jedna to litera,
w **pierwszej** jest na przedzie.
A **całością** — zgadnij teraz —
jakie miasto będzie?

ROZWIĄZANIA Z N-RU 1

Zagadka 1: miotła, 2 — żywica, 3 — słońce, księżyc, 4 — piła. Szarada 1: karawana. Rebus: Gazetka Miki. Podróż Miki: mały żagiel — Don, Aar, Ren. Duży żagiel. Po, Olza, Moza, Odra, Raba, Złota Lipa, Amazonka. Razem **Dar Pomorza.**

MĘCZYGŁÓWKA RYBACKA

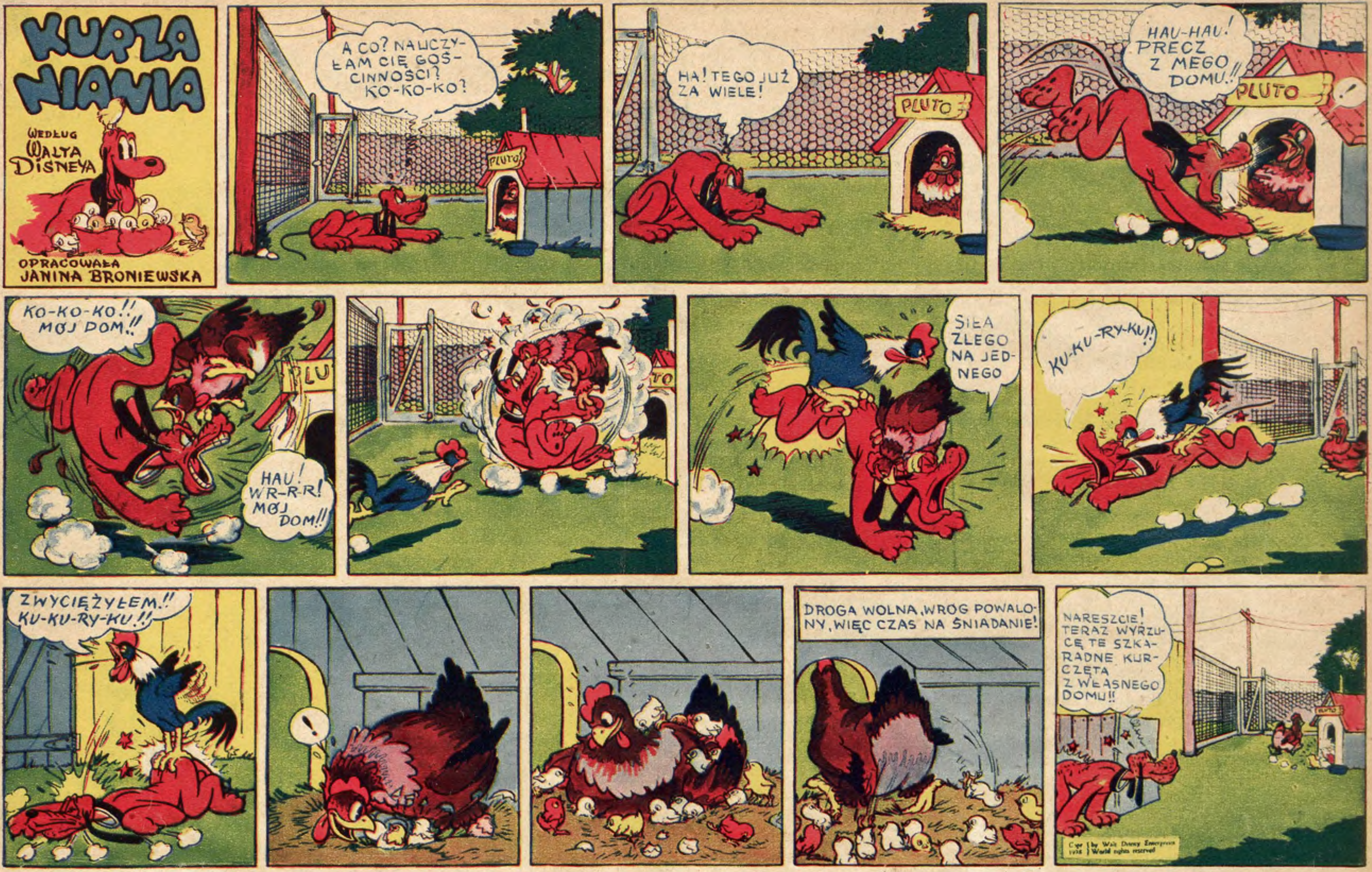
A teraz wyłówcie te obiecane ryby:

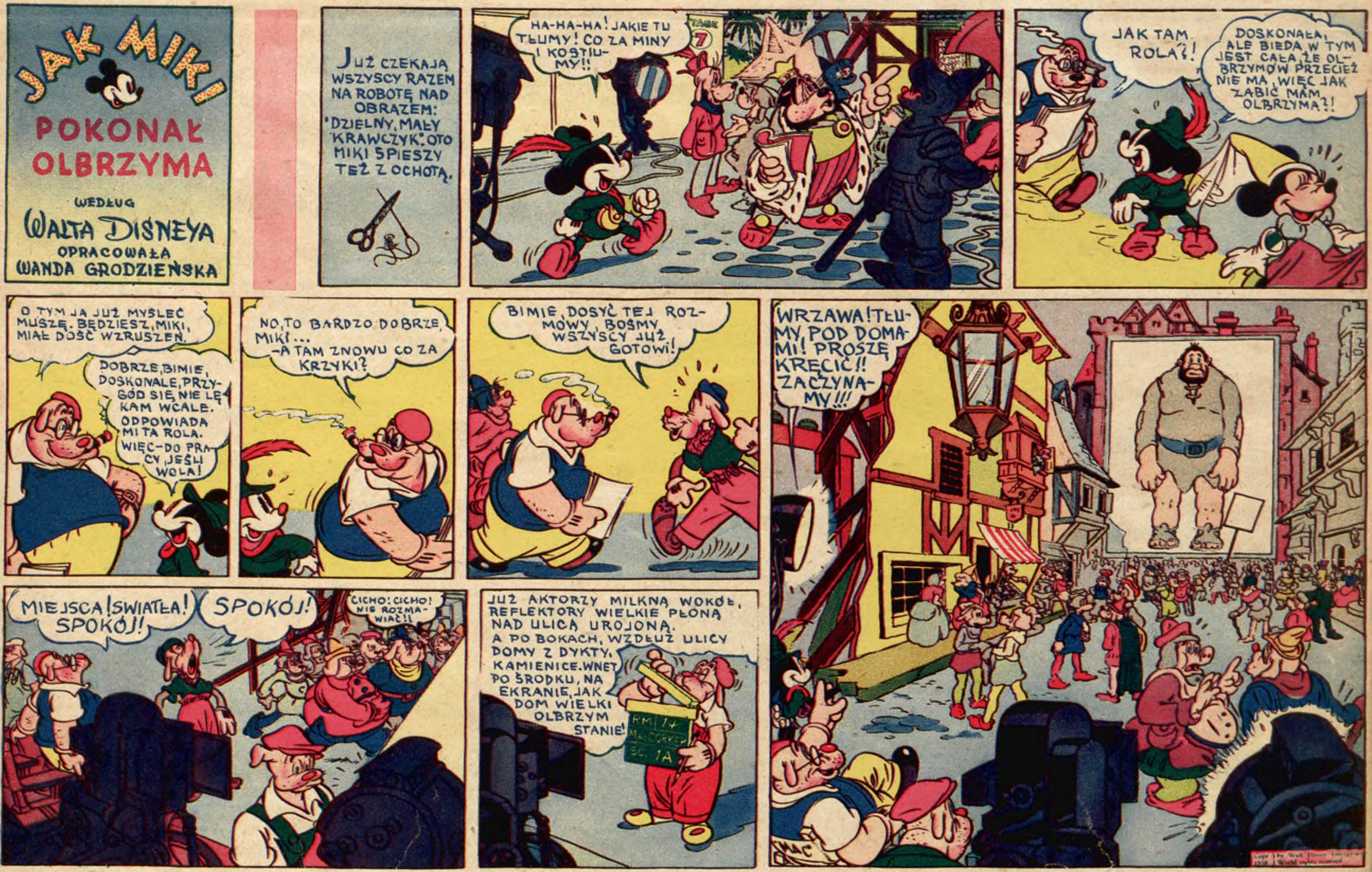
Rosną sm**reki** **na** zboczu góry. Oto **koń** czystej krwi arabskiej. Wlazł na **płot** **Kaz**ik, a za nim Janek. Donio**śle** **dź**więczy dzwon. Opuściwszy głow**ę** **gorz**ko płakał winowajca. W dali, zza raf **ląd** **ra**ptem wynurzył się z mgły. Powalałeś całe ra**mię** **tus**zem. A cóż za masz**kara** **ś**lepia wytrzeszcza?

Obfity był połów, prawda?

REBUS







Wydawca: Wydawnictwo »Gazetka Miki« — Sp. z o. o.
Redaktor odpowiedzialny: Aleksandra Bończa-Waśniewska.
Redakcja i administracja: Warszawa, Jasna 18/20 m. 17. Tel. 529-64. Konto P. K. O.: 3666.
Redakcja czynna codziennie od g. 12—13. Administracja czynna od 10—19.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 1·50 zł wraz z przesyłką, cena pojed. numeru 40 gr. — Do nabycia w księgarniach i w kioskach »Ruchu«. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.